



zdjęcie MACIEJ MOSKWA

Chleb krojony nie ma duszy

tekst ALEKSANDRA BOĆKOWSKA

GDYŃSKIE HALE TARGOWE zatrzymały się w czasie.
To nietypowe w mieście, które ciągle gna.

Czy wszędzie powinno być ładnie? „Tak” – odpowiedziały aż czterdzieści cztery z sześćdziesięciu osób. Czy wszędzie powinno ładnie pachnieć? „Tak” – zdaniem czterdziestu trzech osób. Na inne pytania odpowiedzi „tak” i „nie” rozłożyły się niemal po równo.

Był lipiec 2021 roku, w przestrzeń gdyńskich Miejskich Hal Targowych (potocznie zwanych Halą Targową) wtopili się artyści. Na co dzień urzędują w podziemiu, gdzie w siedzibie Stowarzyszenia Halo Kultura mają pracownie, przygotowują wystawy i od czasu do czasu podejmują próby integracji z kupcami. Latem właśnie w tym celu zorganizowali wydarzenie „Siatka”. W budce telefonicznej można było odsłuchać wspomnienia kupców nagrane przez interdyscyplinarną artystkę Monikę Szpener. W jednym z boksów – skosztować halowych przysmaków wybranych przez Wojtka Radtkego, artystę i kulinarnego aktywistę związanego z ruchem Slow Food. W tęczowym, nadmuchiwanym basenie rozedrganym w rytm elektronicznej muzyki – wygrać upominek. Zawiadywała nim performerka Alicja Nowicz. To ona wymyśliła kwestionariusz z jedenastoma pytaniami – trzeba było go wypełnić, żeby dostać podarunek

z halowych stoisk, na przykład otwieracz do słoików albo budzik. Zapętlone pytania drażniły z głośników: „Czy wszędzie powinno być ładnie?”, „Czy nie może tak pozostać?”, „Czy należy piłować ząb czasu?”, „Czy gdy jest pięknie, to bieda nie ma?”, „Kto na tym skorzysta?”.

Mieszkałam wtedy w Gdyni trzeci dzień, wcześniej znałam Hale głównie z opowiadań, a targowiska w ogóle odwiedzałam raczej z konieczności niż z ciekawości. Tym razem było inaczej. Nowa w mieście, interesuję się tu wszystkim, wydeptuję ścieżki. W Halach zaintrygowało mnie to, jak bardzo nie pasują do wizerunku Gdyni, który można streścić w trzech słowach: nowoczesność, Europa i prestiż. Już w 1996 roku w wydawnym z okazji obchodów siedemdziesięciolecia miasta albumie *Gdynia i gdynianie w drodze do przyszłości* pisano: „Gdynia to miasto, które warto promować jako przykład przedsiębiorczości, dynamizmu i nowoczesnych, odważnych rozwiązań – jako wizytówkę polskich przemian”. Według *Strategii rozwoju Gdyni* przyjętej przez Radę Miasta w 1998 roku silną stroną Gdyni miało być postrzeganie jej jako sprawnie zarządzanego miejsca zamieszkania ludzi zamożnych i przedsiębiorczych. W firmowanej przez

kierującego tutejszym samorządem od dwudziestu czterech lat prezydenta Wojciecha Szczurka *Strategii rozwoju miasta Gdyni 2030* Gdynia ma być „nowoczesnym miastem o bardzo wysokiej jakości w skali kraju i Europy”. Słowo „nowoczesność” w tym dokumencie pada piętnaście razy, „Europa” i „europejskość” – osiemnaście, kilkakrotnie powtarza się „prestiż”.

W śródmieściu Gdyni jest ładnie, względnie czysto, pachnie morzem i dobrobytem. W Halach Targowych czuć mięsem i wykluczeniem. Zabytkowy podział na hale Łukową, Płaską i Rybną przesłania plastikowe zadaszenie placu Targowego. Zatarły się specjalizacje – stoiska z ciuchami sąsiadują z mięsnymi, luksusowe sery z tanimi drobiazgami, właściwie tylko warzywa trzymają się razem. Estetyczny nieład ma swój urok, ale wiąże się z niewygodą, a to sprawia, że Hale – choć położone w ścisłym centrum miasta – stopniowo stają się miejscem marginalnym.

Pytam wiceprezydentkę Gdyni do spraw gospodarki Katarzynę Gruszecką-Spychałę, czy miasto odpuściło sobie Hale jako za mało prestiżowe. – To błędne wrażenie – zapewnia. – Zmiany trwają dłużej, niż bym chciała, bo nie chcę brać na sumienie ludzkiego losu. Mogłabym przecież wypowiedzieć umowy kupcom, których asortyment mi nie odpowiada, i sprowadzić takich, którzy lepiej pasują. Wtedy Hale błyszczałyby. Ale nie chcę tego robić siłowo.

ZAPROJEKTOWANE przez architektów Jerzego Müllera i Stefana Reychmana Miejskie Hale Targowe otwarto 11 listopada 1937 roku, w dniu obchodzonego po raz pierwszy Narodowego Święta Niepodległości. Gdynia, duma Drugiej Rzeczypospolitej, istniała wtedy jako miasto ledwie jedenaście lat i bardzo dobrze się zapowiadała. Port, polskość i przedsiębiorczość – to były ówczesne słowa klucze, jak dziś nowoczesność, Europa i prestiż. By nadać im sens, skorzystano z dobrodziejstw architektury i urbanistyki. Śródmieście zbudowano na przejrzystym planie – dość powiedzieć, że ulica 10 Lutego wiedzie niemal od dworca do samego morza. Modernistyczne budynki wzbogacono o zaokrąglenia, które mają przywołać na myśl okręty. Ówczesne siedziby Zakładu Ubezpieczeń Społecznych (obecnie znajduje się tam Urząd Miasta) czy sądu rejonowego (wciąż pełni swą funkcję), liczne kamienice i wille do dziś przyciągają zwiedzających.

Hale Targowe były kolejną perłą modernizmu, architekci poszli nawet krok dalej, bo w kierunku konstruktywizmu. Krytyk architektury Grzegorz Piątek tak pisał w artykule *Usta Gdyni: Miejskie Hale Targowe* na portalu Vogue.pl:

Müller i Reychman stworzyli jeden z najbardziej radykalnych budynków w ówczesnej Polsce, o architekturze sprowadzonej do inżynierskiego minimum. To właściwie kompleks trzech brył. Nad dwiema niskimi – halą rybną i mięsną – góruje główna hala warzywno-drobiowa. Jej łuki o wdzięcznym kształcie paraboli wznoszą się 16 metrów ponad ziemią. Do tej pory takie proste konstrukcje stosowano w hangarach, tu – przy 33 metrach rozpiętości – zamiast samolotów pod jednym dachem ustawiono dziesiątki stoisk. Ściany szczytowe są obficie przeszklone, dzięki czemu w środku jest jasno niemal tak jak na zewnątrz. To architektura, która przemawia od wagą prostego, zamasztyego gestu.

Hangarowa konstrukcja Hali Łukowej – tej, w której handlowano warzywami i drobiem – w czasie drugiej wojny światowej posłużyła jako garaż dla niemieckich czołgów. Jak podaje badacz gdyńskiej historii Arkadiusz Brzęczek, niepolsko brzmiące nazwiska architektów uratowały posadzkę

z Opoczna – kamionkowe płytki, znane z przedwojennych kamienic, leżą w Halach do dziś. Sądząc, że halę zaprojektowali Niemcy, okupanci nakładali osłony na gąsienice, dzięki czemu czołgi nie zniszczyły podłoża. Nazwiska nie uratowały jednak architektów: Reychman zginął w obronie Wybrzeża w 1939 roku, Müller trafił do oflagu, gdzie przeżył wojnę; zmarł w Warszawie w 1963 roku.

W pamięci gdynian i gdynianek pozostał luksus. Zapach kawy i wspólnota kupców. Ci opowiadają, jak składali się na kawę u marynarzy, wozili do palarni i w nocy – by zdążyć, zanim przyjdą klienci – wazyli po dziesięć deko i pakowali do foliowych woreczków.

Hale przetrwały, choć uległy poważnym zniszczeniom. Halę Łukową zbombardowano, w podłodze ziała potężna wyrwa. Pierwsze powojenne stoiska – pozwolenia na handel wydano już 8 maja 1945 roku – ulokowały się wokół niej. To wtedy na dobre zaczęła się historia Hal Targowych.

WSPÓŁCZESNA OPOWIEŚĆ o Gdyni nawiązuje do przedwojennej historii miasta, czerpiąc z niej hasła modernizmu i odwagi, a niemal pomija czterdzieści pięć lat istnienia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Politolog Michał Graban z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu w książce *Ewolucja czynników rozwoju Gdyni na tle przeobrażeń cywilizacyjnych XX i XXI wieku* zwraca uwagę na „realizowany w Gdyni proces «cichego wykluczenia» z życia obywatelskiego miasta przedstawiciele tak zwanej gorszej Gdyni: mieszkańców postsocjalistycznych osiedli blokowych oraz robotników upadających dużych przedsiębiorstw gospodarki morskiej”. Badacz przypomina, że w PRL-u Gdynia była miastem przede wszystkim przemysłowym – w 1973 roku w przemyśle, transporcie i handlu pracowało prawie 76 procent zatrudnionych. Większość oczywiście w instytucjach związanych z morzem: stoczni,

porcie, wreszcie na statkach. Specyfika miasta portowego pozwoliła Gdyni uciec przed rygorami socjalizmu. Było tu więcej wolności, przynajmniej gospodarczej.

Inicjatywa prywatna w mieście portowym odgrywała ważną rolę i stworzono dla niej lepsze warunki, aniżeli w innych miastach Polski – zauważa Graban. – W Gdyni stosunkowo liczną grupą społeczną było kupiectwo handlujące deficytowymi towarami przywożonymi drogą morską z zagranicy (...). Hala zaopatrywała rynek krajowy (a później także rynki innych «demoludów») w «modne» towary. Każdego weekendu przyjeżdżało do Gdyni wielu kupujących przywiedzionych chęcią nabycia towarów sprowadzonych przez marynarzy z zachodu.

„Kiedyś było zupełnie inaczej” – zano-towałam podczas rozmów z kupcami tęskniącymi za czasami świetności. Świetności w sensie wyjątkowości towarów, jakie dzięki marynarzom były dostępne w Halach Towarowych, a nie w sensie stanu technicznego budynku, który w 1953 roku według Małgorzaty Sokołowskiej, autorki *Encyklopedii Gdyni*, przedstawiał się tak:

Ściany, sufity czarne – odymione, miejscami tynk odpada całymi płatami. Zacieki spowodowane nieszczelnością dachu pokrywają prawie całą halę. (...) Hala targowa nie posiada żadnego czynnego urządzenia do grzania wody potrzebnej do zmywania i szorowania około 200 stoisk. Natryski do kąpeli znajdują się, ale od lat są nieczynne. Przed halą brak straganów, ludność sprzedaje nabiał oraz drób bezpośrednio na ziemi.

Dziś mało kto zagraca sobie pamięć drobiem i niewygodą. Handlowaniem z byle jakich ład i skleconych z resztek bud, pozwole-niami, kontrolami i resztą PRL-u. W pamięci gdynian i gdynianek pozostał luksus. Zapach kawy i wspólnota kupców. Ci opowiadają, jak składali się na kawę u marynarzy, wozili do palarni i w nocy – by zdążyć, nim przyjdą klienci – wazyli po dziesięć deko i pakowali do foliowych woreczków. Wspominają nieprzebrane tłumy kupujących, rozplotkowanych, wesołych, z luźniejszą niż dzisiaj kieszenią. Związany z Gdynią ekonomista i konsul honorowy Danii Julian Skelnik

pamięta smak whisky kupowanej za połowę miesięcznych zarobków. „Najbardziej nasza pocziwa hala rozkwitła w PRL-u. Zyskała pozycję centrum wolnego rynku – opowiadał Adamowi Kamińskiemu w wywiadzie rzece *Gdynia Juliana*. – Przyjeżdżali rolnicy i ich żony z własnymi świeżymi produktami: drobiem, niedostępną w handlu uspołecznionym cielęciną i schabem, nabiałem, miodem i owocami runa leśnego. Wszystko świeże i dobrej jakości. Było drogo. Dzięki importowi marynarskiemu można było tam kupić rzeczy w Polsce niedostępne. Były dzinsy, zwane w owym czasie dunkrami, były modne ubrania, amerykańskie stare ciuchy, egzotyczne owoce, (...); części do zachodnich samochodów, importowane opony i akumulatory; zagraniczne i krajowe tandetne zabawki, najnowsze angielskie i amerykańskie płyty gramofonowe – dostępne już w tydzień po premierze; kakao, czekolady zachodnie, ale także krajowe, pokątnego wyrobu smakolyki; markowe alkohole i papierosy. (...) W Hali Rybnej był spory wybór świeżych i wędzonych ryb,

dużo konserw rybnych. Wędzony węgorz czy łosoś, a także świeże ryby w głębi Polski uchodziły za luksusowy prezent”.

O nostalgiczną pamięć o Halach dba Bożena Samburska, szefowa mieszczącego się w podziemiu Hali Łukowej Muzeum Kameralnego, a w latach 1994–2014 wiceprezesa Spółki Akcyjnej Miejskie Hale Targowe. Ubrana w futrzany kubrak wita mnie, przykładając do oczu przezroczysty, trójbarwny prostokąt z plastiku. To hit Hal lat 60.: nakładka na czarno-biały telewizor, u dołu niebieska, pośrodku pomarańczowa, a na dole zielona, zapewniająca zatem właściwy kolor niebu i trawie, ilekroć te pojawiały się na ekranie. Gdynia była wówczas w krajowej czołówce pod względem liczby telewizorów: w 1964 roku było ich 7200 na 163 tysiące mieszkańców.

Przywożone przez marynarzy nakładki dziś wydają się filtrować wspomnienia o Polsce Ludowej, w których niedogodności, bieda i niewola czarodziejско zamieniają się w przygodę.

Pani Bożena, zanim opowie swoją historię, prezentuje muzealny kramik. Czego tu nie ma! Wypalarka, którą ktoś wypalał obrazki w kawałkach drewna. Wiertarka nieudarowa, z którą darczyńca w swoim czasie spał, tak się cieszył z jej zdobycia. Prodiż, dziadek do orzechów, wyciskarka oleju z orzechów, urządzenie do krojenia frytek, oprawiony w kryształ zegar, trochę szkła, dużo elektroniki, piękne puszkę po kakao i mleku w proszku. Pani Bożena pamięta, że te ostatnie przynosili księża lub ich gospodynie. W PRL-u plebanie były miejscem dystrybucji zagranicznej pomocy dla Polek i Polaków. Część darów trafiała na handel; duchowni tłumaczyli, że nie chcą się na nich bogacić. Mówili, że z obcojęzycznymi instrukcjami na etykietach nikt by sobie nie poradził i obiecywali za zarobione pieniądze kupić parafiankom polskie mleko.

Bożena Samburska od 1987 roku przez trzydzieści lat prowadziła kolonialne stoisko Szafran. Z koleżanką sprowadzały z Czechosłowacji *lentilky* [kolorowe draże czekoladowe



– przyp. red.], od marynarzy kupowały papierosy, które szatniarze z knajp sprzedawali z jeszcze większym zyskiem. Inny dostawca przywoził z Republiki Federalnej Niemiec cytrusy – dopiero po jakimś czasie przyznał, że wyrzebywał je ze śmietników przy supermarketach. Jakość, zapewnia pani Bożena, była nieskazitelna, ludzie stali w kolejkach po trzy godziny. Kiedy okazało się, że jej mała córka ma alergię na laktozę, pojechała szukać ratunku w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Znalazła Humanę i Milupę – kaszki na mleku bez laktozy i cukru. – Pomyślałam wtedy, że żadna matka nie będzie już tak cierpieć, i zaczęłam sprowadzać odżywkę dla dzieci – opowiada. Na tych kaszkach wyrosło, jak twierdzi, pokolenie dzisiejszych trzydziestolatków plus.

—
TRZYDZIESTOLATKOWIE PLUS nie okazują wdzięczności. Wśród kupców i – zwłaszcza – klientów dziś jest ich w Halach niewiele. Są oczywiście wyjątki. Gdzieś pomiędzy chemią

z Niemiec a piżamami trafiam do sklepu, który wymyka się halowym zwyczajom. Urodzona w 1980 roku Anna prowadzi w Hali Łukowej księgarnię Mam Pomysł na. Na pierwszy rzut oka – książki dla dzieci, trochę zabawek i puzzle. Dłuższa wizyta wyjaśnia, że chodzi o coś więcej. Zanim pogadamy, czekam chyba z kwadrans, bo u Anny jest klientka. Słyszę strzępy rozmowy. Mówią o tym, co u nich i ich bliskich, są dobrze zorientowane we wzajemnych sprawach. – Ja tak pracuję, pani Olu, na relacjach – tłumaczy Anna, gdy już przysiadę na stołeczku. To zresztą rzadkość w halowych stoiskach. Przeważnie rozmawiamy, jak wskazuje nazwa, stojąc.

Zanim w 2019 roku zajęła się handlem, Anna pracowała w warszawskich urzędach. – Wróciłam, bo tęskniłam za Gdynią. I chciałam stworzyć coś swojego, co byłoby sensowne – mówi. Sensowne jest dla niej coś, co daje ludziom radość, ale niczego nie zabiera środowisku. Zaczęła od sprzedawania ekologicznych kosmetyków na bazarze Bo ze Wsi w dawnym kinie przy skwerze Kościuszki.

Ten jednak działa tylko dwa razy w tygodniu, a Hala jest codziennie. – Szukałam miejsca na mały sklepik, ale nie miałam funduszy na samodzielny lokal. Czynsz na Hali jest do udźwignięcia dla osoby z niewielkim kapitałem – opowiada. Gdy urządziła boks, nadlatywały już – jak mówi – pierwsze pandemiczne jaskółki. Wiedziała, że z samych ekokosmetyków się nie utrzyma. Zostawiła trochę dla stałych klientów z bazaru, ale wzbogaciła ofertę o książki dla dzieci, gry edukacyjne, puzzle. Stara się, by rzeczy były jak najbardziej przyjazne środowisku, nawet kosztem przychodów: – Za każdym razem, gdy robię zamówienie, muszę wybierać między tym, co dobre, ale drogie, a tym, co gorszej jakości i tańsze.

Konieczność kompromisu sprawia, że ma trochę plastikowych zabawek, ale stara się, żeby było ich jak najmniej. Jeśli może, wybiera drewniane. Musi ważyć racje między przyszłością planety a teraźniejszością klientek i klientów, ci zaś rzadko mogą wydać więcej niż sto złotych. Dobór książek



konsultuje z rodzicami czytelników, wybiera te uznawane za wartościowe. Chce sprzedawać rzeczy, które nie są jednorazowe. Mają posłużyć następnym pokoleniom albo – jak puzzle – dać radość przynajmniej kilku osobom w rodzinie. – Klienci pytają mnie często o plastikowe pojemniki śniadaniowe. Nie mam i nie będę ich miała. Na niektóre produkty się nie zgodzę. Chcę mieć czyste sumienie, że zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby było dobrze – mówi. Marzy, by w przyszłości otworzyć duży sklep, który nie szkodziłby nic a nic.

Kiedy rozmawiamy, co chwilę ktoś podchodzi. Pytają o temperówkę, o torebkę nerkę dla dziecka, o kalendarz książkowy, bo zniknęło stoisko, na którym zawsze były. Anna obiecuje zamówić. – Hala jest gdzieś pomiędzy galerią handlową a targowiskiem – mówi. Galerią handlową okazała się podczas pierwszego lockdownu, kiedy zamknąć musieli się wszyscy, którzy nie sprzedają rzeczy pierwszej potrzeby. Annę uratowała półeczka z ekokosmetykami. Myślami można było handlować.

Mniej więcej wtedy Zosia Brunka i Kacper Jezierski w Hali Płaskiej otworzyli stoisko Hala Lokalnie. Od kilku lat pieką własny chleb, który sprzedawali na targu Jadłostajnia Kolibki w Orłowie, gdzie w soboty handlują kaszubscy producenci. Zosia i Kacper wymyślili, że swoje rarytasy będą sprzedawać przez cały tydzień. Najpierw wynajęli stoisko w centrum handlowym. Nie mieli tam wpływu na wystrój, musieli być na miejscu od godziny 9:00 do 21:00, bo inaczej płaćliby kary za nieobecność, a atmosfera była, jak to w galeriach handlowych, bezosobowa. Podczas lockdownu przenieśli się więc do Hal. Urządzili boks według własnego gustu, odnowili kredens po prababci Kacpra, znajomy grafik zrobił im szyld i gdzieś pomiędzy stoiskami z kielbasą a punktem naprawy wszystkiego sprzedają chleb po piętnaście złotych za bochenek, sery od lokalnych producentów z Polski i zagranicy po dziesięć deko za dychę i kaszubskie przysmaki – napary z rokitnika, wątróbkę z dorsza, jogurty, kiszonki. Nietanie, a bywa, że ustawia się kolejka. – Odpowiada nam luźny klimat, który tu panuje – mówi Zosia. – Można pogadać, przyjść z córką, załatwić przy okazji wszystkie sprawy.

Wiele z tego, po co współcześni mieszkańcy chodzą do galerii handlowych, tylko dużo tańsze, jest w sklepie 1001 drobiazgów po skosie od pani Anny, tuż przy wejściu do Hali Łukowej. Za ladą siedzą Levik Grigorian i Marzena Włodarska. On przyjechał tu z Armenii w 1994 roku, ona zaczęła się na wakacyjny handel i – traf chciał – pracowała w sąsiedztwie. Zakochała się w sobie i są razem już z górą dwadzieścia lat. Drobiazgów naprawdę jest tu z tysiąc. Kubki, garnki, nożyczki, zegarki, kleje, żarówki, czajniki, ciśnieniomierze, lampki choinkowe. Te kiedyś były hitem, nie nadążali z zamawianiem. Stoisko mieli jeszcze wtedy na dworze, lampki były

Dzisiaj gdyńskie Hale wyglądają, jakby zatrzymały się pomiędzy epokami, gdzieś na przełomie milenium. Fasada Hali Łukowej lśni, w 2015 roku odzyskała piaskowy odcień, przedwojenny zegar i stylizowany na lata 30. szyld „Hale Targowe m. Gdyni”.

żarówkowe, wystarczyło, że jedna się obluźowała, by nie palił się cały komplet. Klienci zamiast dociekać, która nie styka, przychodzili po nowe. Kosztowały pięć złotych, szły jak świeże bułeczki. Aż wymyślono ledowe. No i teraz zalegają po cztery lata. Bo się nie psują i kosztują swoje. Komplet pięciuset ledowych światełek w zeszłym roku w hurtowni kosztował 25–29 złotych, teraz 39,60. – Kto za tyle kupi? – Levik Grigorian wie, że raczej nikt.

W ciągu godziny zaglądną do boksów trzy panie. Pierwsza pyta o klej. Krzywi się na Kropelkę za sześć złotych, wybiera Kropelkę za dwa. Druga szuka wkładek filcowych, kupuje dwie pary, po cztery złote każda. Trzecia pyta, czy dostanie lampę na naftę. Dostanie – mniejszą za osiemnaście złotych albo większą za trzydzieści. Mniejsza jest za mała, większa za droga. – Teraz nie ma nic tańszego. Co drugi dzień, gdy jadę po towar do hurtowni, każda rzecz o złotówkę skacze do góry – tłumaczy Levik, ale klientka już nie słucha. Wyszyła.

Maciej Wojsławski, który od dwóch lat z ramienia Zarządu Budynków i Lokali Komunalnych kieruje gdyńskimi Halami, wcześniej zarządzał centrami handlowymi i obiektami biurowymi. – Doświadczenie, które tam zdobyłem, przekłada się na Hale. Wiem, w jakim kierunku powinny iść moje działania – mówi. W jakim? – Jako kierownik dostałem zadanie, aby odzarować zły wizerunek. Chciałbym dostosować je do realiów, które teraz panują na rynku. Żeby było więcej lokalnych produktów, a relacja między klientami a kupcami była taka jak kiedyś, a nie tylko kupno–sprzedaż.

KAŻDY MA W ŻYCIU SWÓJ CZAS I TRZEBA GO WYKORZYSTAĆ. Taką szansę dostaje się tylko raz – mówi Jan Sychta, który wraz z rodziną handluje mięsem z własnych rzeźni i masarni. Ma w Halach cztery stoiska. Dla niego tą szansą był handel, który zaczął w 1993 roku.

Dla Hal tym czasem były właśnie lata 90. Wcześniej przyciągały tłumy, bo po prostu wszystko tu było. W 1991 roku miasto – po wyroku sądu – przejęło Hale od spółdzielni Społem, która w PRL-u zarządzała handlem wielkopowierzchniowym. Magistrat wspólnie ze Stowarzyszeniem Kupców Gdyńskich zadbał o najpilniejsze remonty, po czym w 1994 roku wydzierżawił Hale Spółce Akcyjnej Miejskie Hale Targowe. Spółka administrowała nimi wspólnie ze stowarzyszeniami kupieckimi. W 2008 roku Najwyższa Izba Kontroli informowała o niejasnościach w umowach i ogólnej niegospodarności, radnych niepokoiło zadłużenie spółki wobec miasta. Przypominali, że jej prezes Eugeniusz Łucyk jest ojcem Marka Łucyka, bliskiego współpracownika prezydenta Wojciecha Szczurka (a od 2018 roku wiceprezydenta Gdyni do spraw rozwoju), w czym widzieli przyczynę łagodnego traktowania spółki przez urząd. Miasto ponownie stopniowo przejmowało Hale, a w 2012 roku – mimo protestów kupców – powierzyło zarząd Administracji Budynków Komunalnych, co miało ułatwić pozyskiwanie pieniędzy na remonty. Od 2015 roku miasto zarządza Halami samodzielnie, za pośrednictwem Zarządu Budynków i Lokali Komunalnych.

Im bardziej iskrzyło na wysokich szczeblach władzy, tym bardziej opadało napięcie na Halach. W latach 90. wciąż było w nich tłoczno. Handlowano ciuchami, muzyką, filmami, oczywiście ciągle owocami, warzywami, mięsem i rybami. W Hali Łukowej były bary, w których – jak wspominają kupcy – przesiadywali Szwedzi przyplływający do Gdyni promami. Robiło się tu dobre interesy i atrakcyjne zakupy.

Dziś gdyńskie Hale wyglądają, jakby zatrzymały się pomiędzy epokami, gdzieś na przełomie mileniów. Fasada Hali Łukowej lśni, w 2015 roku odzyskała piaskowy odcień, przedwojenny zegar i stylizowany na lata 30. szyld „Hale Targowe m. Gdyni”. Ale już plastikowemu zadaszaniu, które osłania plac Targowy przed Halą Płaską, nie pomagają łukowe kształty – trzeba troszkę wyobraźni, by odgadnąć, że to ukłon w stronę modernizmu. Barwni sprzedawcy warzyw i owoców, ideowa księgarka, zanurzony w przeszłości Levik i jego drobiazgi, nieliczni młodzi, którzy sprowadzają lokalne rarytasy z Kaszub – żeby ich wszystkich znaleźć, trzeba, wdychając mięsne opary, przemierzyć długie aleje stoisk z ciuchami udającymi markowe, piżamami, bielizną i portfelami nie wiadomo skąd. Jeśli ktoś chciałby zobaczyć lata 90. bez instagramowego filtra, tutaj ma okazję. Są szyldy z zawijasami, zupełnie bezwstydlne sklepy z futrami, skryty za wyłożonymi czerwoną okleiną szybami sex-shop, gadzety Arki Gdynia i bluzy z nacjonalistycznymi nadrukami, pamiątki z papieżem i krzyże zawieszane na ścianach (przeważnie stoisk z mięsem). Są też niestety całe połacie opuszczonych boksów. W listopadzie 2021 roku pustych stało pięćdziesiąt sześć, w połowie lutego 2022 roku – siedemdziesiąt trzy, najwięcej na placu Targowym. „Ta część hali, w której sprzedaje się świeże płody ziemi, jest swoistym zegarem przyrody – mówił w wywiadzie rzece Julian Skelnik. – Wyraźnie widać pory roku, upływ czasu i nasze przemijanie”.

TEN ŻYWY KADR z przeszłości czy też może dokument przemijania jest pyszną pożywką dla artystek i artystów. Alicja Nowicz, autorka zadziornego kwestionariusza, w którym pyta, czy wszędzie powinno być ładnie i czy

należy piłować ząb czasu, mówi, że przenikanie się różnych światów sprawia, że w ogóle chce się jej żyć w Polsce. Studiowała w Lugano i Amsterdamie, ale wróciła, bo nie znosiła tamtejszej sterylności. – Mieszkając na Zachodzie, doceniłam wschodnią improwizację. Gdy polski krajobraz zaczął przeistaczać się w porządną i wyszlifowaną, dostrzegłam wartość w niedociągnięciach. To, co dawniej irytowało mnie w Polsce, stało się pociągające.

Alicja działa w zarządzie Stowarzyszenia Halo Kultura, które od 2019 roku zajmuje aleję w podziemiu Hali Płaskiej. Za ścianą mają chłodnie mięsne i obrabialnie, do których o świcie wjeżdżają półtusze. Ambicją

Od czasu do czasu dzieją się tu rzeczy, które mają pomóc na nowo opowiedzieć o Halach. Minionej zimy malarz Dawid Wojtalewicz chodził po Halach z mobilną pracownią malarską własnej konstrukcji i przyglądał się kupcom. Wybranych portretował przy pracy, podczas rozmów z klientami.

Halo Kultury jest łączenie sił artystów, rzemieślników i organizacji pozarządowych – danie im przestrzeni, w której mogą się spotkać, wymienić pomysły i potrzebami, popracować, co jakiś czas zrobić wystawę. Celem jest – jak tłumaczy współzałożycielka stowarzyszenia Marta Ożóg-Orzegowska – szeroko pojęta edukacja artystyczna: trochę uczenie dzieci, a trochę osvajanie ze sztuką dorosłych odbiorców, budzenie w nich potrzeb estetycznych. Integracja artystów z kupcami trwa gdzieś w tle. Po to, by lepiej ich poznać, Alicja Nowicz w zimie 2021 roku sprzedawała ceramiczne wyroby swojego autorstwa. Spędziła tydzień na placu między Halą Płaską a Halą Rybną. Handel nie szedł, choć ceny opuściła do kilkudziesięciu złotych (jej prace są warte nawet kilkaset), więc dużo rozmawiała. Pani, która z powodzeniem sprzedawała przetwory, dawała jej rady. Pan, który prowadził stoisko z dzinsami, opowiadał, jak dla Hali rzucił państwową

posadę. Kilka tygodni później Alicja zobaczyła rozbierany boks. Dostała na pamiątkę wystrugany w kawałku drewna napis „Dzinsy Original Jeans”. Alicja ma w zanadrzu projekt „Szyldex” – chciałyby te koślawe napisy uratować, to przecież wizualna historia.

– Najpierw odrzuciły nas stoiska z majtkami i chemią z Niemiec, następnie zapach mięsa w podziemiu. A potem uznaliśmy, że to najlepsze miejsce do naszych działań – mówi Beata Bochińska, historyczka dizajnu i badaczka trendów. Wraz z mężem, który zajmował się zarządzaniem technologiami w biznesie, założyła w 2021 roku Fundację Bochińskich. Chcą z pomocą nowoczesnych technologii przywracać świadomość o dawnym wzornictwie i promować dizajn jako jedną z form opowieści o współczesności. Długo szukali w Gdyni miejsca, w którym urządziłoby studio cyfrowe. Wybrali przestrzeń w Halo Kulturze, bo jak mówią, tutaj znajdują prawdę. Kończą właśnie urządzać dwudziestopięciometrowe pomieszczenie, które będzie bazą dla wystaw. „Bazą” dlatego, że na miejscu pokażą tylko kilka przedmiotów, reszta będzie dostępna online. Kuratorką pierwszej wystawy będzie Agnieszka Stanaś, projektantka tkanin i autorka sitodruków, która zinterpretuje hasło „RóżniMy”.

Brzmi to jak opowieść z jutra (albo i pojutra), dlaczego więc podziemia wczorajszej (jeśli nie przedwczorajszej) Hali uznali za najlepsze? – Spotykamy tu innych, nieznaną wcześniej artystów, wymieniamy doświadczenia. To jest inspirujące – mówią Bochińscy. – A poza tym zachwyca nas, że w miejscu kojarzonym z handlem kultura okazuje się dosłownie fundamentem.

Od czasu do czasu dzieją się tu rzeczy, które mają pomóc na nowo opowiedzieć o Halach. Minionej zimy malarz Dawid Wojtalewicz chodził po Halach z mobilną pracownią malarską własnej konstrukcji i przyglądał się kupcom. Wybranych portretował przy pracy, podczas rozmów z klientami. Malował na płytkach ceramicznych, bo zauważył, że to najbardziej charakterystyczny detal Hali – wyłożone są nimi ściany wielu stoisk. Na potrzeby wystawy Dawida – od 26 lutego portrety wiszą na filarach w Hali Łukowej – opisywałam historie jego bohaterów. Dzięki temu spotkałam kupców, do których sama pewnie bym nie trafiła.



—
CHLEB KROJONY NIE MA DUSZY – mówi Janina Gorzycka-Olkowska z piekarni Szydłowski, gdy od stoiska odchodzi klient, który poprosił o pokrojenie. Z wykształcenia jest technikiem odzieżowym, ale gdy na początku lat 90. zatrudniła się w pracowni kołder, szef – jako tę, która „nadaje się typowo do klienta” – postawił ją za ladą. Po drodze zmieniała pracodawców, ale za ladą trwa. Na Halach jest od czterech lat, mówi, że to najfajniejsza praca, jaką miała. Zaczyna codziennie po godzinie 6:00. Wypakowuje pieczywo, odbiera wiadomości od zaprzyjaźnionych kupców i klientów – odkłada dla nich to, co zamówili. Sama też kupuje niemal wyłącznie na Halach. Mięso u sąsiadki naprzeciwko, wędliny w boksie po prawej, kapustę i ogórki zawsze u Grzybowski (najlepsze na wybrzeżu), ma nawet zaprzyjaźnione stoisko z bielizną. W razie usterki biegnie do krawcowych na dół, tam zawsze jest wesoło, dziewczyny petardy. Klienci – wspaniali. Wcześniej pracowała w Sopocie, tam nabotoksowane panie miały niebotyczne wymagania, tutaj przychodzą poszarpane przez życie babuleńki, słowem – normalni ludzie.

– Muszę pamiętać, kto na co choruje, kto dokąd wyjechał, kto jest z kim, a kto chwilo-wo z kimś innym – śmieje się pani Janina. To powtarzają wszyscy moi rozmówcy: że klientki i klienci przychodzą do nich, owszem, kupić, ale przede wszystkim pogadać.

Dusza duszą, ale przecież żyjemy w Polsce wczesnych lat 20. XXI wieku. W dobie pandemii, sporów politycznych, kryzysu uchodźczego, katastrofy klimatycznej i pełzającej rewolucji obyczajów, również kulinarnych. Wpatruję na Hali refleksów tych zjawisk i znów mam wrażenie, że spaceruję wśród kadrów z przeszłości. Najdłuższe kolejki ustawiają się po mięso, foliówki są prawie wszędzie, maseczek nie ma niemal nigdzie. No, może jako ozdoby na choince postawionej na święta zeszłego roku przez Jadwigę Mielicką i Ewę Jaworską, krawcowe petardy. Kiedy zaczęła się pandemia, uszyły maseczki dla ochroniarzy. Gdy jesienią 2020 roku wybuchły protesty Strajku Kobiet, dekorowały maseczki błyskawicami wyciętymi z taśmy żeglarskiej. Gotowe sprzedawały po dziesięć złotych. Tkaniny na transparenty obszywały za darmo.

O politykę podobno klientki i klienci potrafią się srogo pokłócić. Całkiem niedawno

mężczyzna w sile wieku wyzwiał młodą kobietę bez maseczki od „pisowskich świri”. – Jeśli chce pani stracić klienta, to wystarczy wdać się w rozmowę o polityce – mówi Jan Sychta, który obserwował tę scenę znad śniadania. Marek Litwin, najweselszy na Halach sprzedawca warzyw, z tych, co to komplementują niewiasty i mają żarcik na każdą okazję, w zawiści upatruje przyczyny, dla której ludzie chodzą zasmarkani psychicznie i tłumaczy: – Handel to taka brzydka dziedzina, że pani musi poprzeć diabła i anioła. Jak przychodzi jakiś zaparty peowiec albo zaparty pisowiec, to trzeba grać na jego nutę. Wtedy jest zadowolony.

Pani Janina z piekarni Szydłowski stara się pamiętać, kto na kogo głosuje, równie pilnie, jak to, kto z kim akurat jest. – Uwielbiam tę pracę. Zostały mi dwa lata do emerytury i modłę się, żeby Hale przetrzymały – mówi.

—
HALE TARGOWE są ważne dla Gdyni – zapewnia wiceprezydentka do spraw gospodarki Katarzyna Gruszecka-Spychała. – Uważamy, że to kultowe miejsce ze względu na wyjątkową architekturę i na czar, które takie punkty mogą roztaczać.

Urzędniczka nie kryje, że dziś Halom miejscami brakuje tego czaru. Kupcy o tym wiedzą, stąd ich obawy o przyszłość. Narzekają na zimno w zimie (w mroźne dni temperatura jest niewiele wyższa niż na zewnątrz) i skwar w lecie (w upalne dni jest wyższa). Wstydzą się toalet. Lubią luz, ale doskwiera im nieład, chaotyczne przemieszanie asortymentu. Irytuje ich brak miejsc parkingowych; wprowadzenie systemu płatnego parkowania na sąsiednich ulicach spowodowało ich zdaniem znaczny odpływ klientów.

Przed wszystkim jednak mają świadomość, że Hale leżą pomiędzy wypucowanym śródmieściem Gdyni a tak zwanym Międzytorzem – stuhektarowym nieużytkiem poprzemysłowym. W 2017 roku miasto uchwaliło plan zagospodarowania przestrzennego dla znajdującej się tam czternastohektarowej działki. Przewiduje on powstanie osiedla, biur i galerii handlowej. Za budowę odpowiada grupa inwestycyjna Semeko i należąca do Polskich Kolei Państwowych spółka Xcity Investment. Zapowiadają realizację na stulecie Gdyni, czyli w 2026 roku. Ponadto w pierwszych dniach grudnia 2021 roku Poczta Polska sprzedała budynek sąsiadujący z dworcem PKP, położony kilkaset metrów od Hal. – Inwestor ma śmiałe i niezwykle atrakcyjne architektoniczne plany – mówi wiceprezydentka Gdyni. – To ma być wielofunkcyjna przestrzeń: biurowa, ale z usługami i handlem w parterze. Plan wymaga, żeby los trochę sprzyjał inwestorowi, a mówiąc o losie, mam również na myśli konserwatora zabytków – budynki dworca i poczty, podobnie jak Gdyńskie Hale Targowe, są pod jego ochroną.

Czy Hale mogą wytrzymać starcie z nowoczesnym handlem w sąsiedztwie? Gruszecka-Spychała jest spokojna: – Moim zdaniem nie znajdzie się teraz inwestor, który wyłoży pieniądze na galerię handlową. Trendy wskazują na bardzo intensywne przeniesienie się handlu do sieci. Spodziewam się wniosków o zmianę planu.

W latach 2019–2021 miasto wydało na Hale prawie 5 milionów złotych – 3,5 miliona na inwestycje (między innymi remont podziemia Hali Łukowej i łącznika między Halą Płaską a Rybną) i 1,5 miliona na eksploatację. Urzędnicy chcieliby, żeby Hale przetrwały, ale równocześnie by zmieniło

się tam prawie wszystko. – Chcielibyśmy, żeby to było miejsce trendy, atrakcyjne dla turystów, ale też dla mieszkańców. Nie twierdzę, że nasza Hala będzie florenckim Mercato, ale dobrze, gdyby pojawiło się jedzenie na wynos – mówi Gruszecka-Spychała. W Halach chętnie widziałaby rękodzieło, eleganckie pamiątki, stoiska lokalnych producentów, palarnię kawy. W jej wizji brakuje natomiast miejsca dla ciuchów, tandetnych portfeli, tego wszystkiego, co dziś rzuca się w oczy. Zamierza – i jak deklaruje, ma na to plan – przed wejściem do Hali Łukowej zorganizować targ kwiatowy. Kwiaciarki handlujące wzdłuż ulicy dostaną od miasta – jak obiecuje – nowe, nawiązujące do modernizmu kramy. Ludzie, którzy teraz sprzedają przed Halami produkty z własnych hodowli

W latach 2019–2021 miasto wydało na Hale prawie 5 milionów złotych – 3,5 miliona na inwestycje (między innymi remont podziemia Hali Łukowej i łącznika między Halą Płaską a Rybną) i 1,5 miliona na eksploatację. Urzędnicy chcieliby, żeby Hale przetrwały, ale równocześnie by zmieniło się tam prawie wszystko.

– miody, grzyby, owoce sezonowe – mają w drugim kwartale 2022 roku przenieść się pod dach z boku Hali Łukowej. Jak mówi kierownik Hal Maciej Wojsławski, udało się przenieść najemców z istniejących tam boksów do nowych lokali. Troje się przeniosło, dwoje nie skorzystało z tej możliwości i pozostali w boksach, które wynajmowali w innej części Hal.

Nie padają w tych rozmowach słowa klucze dla Gdyni – nowoczesność, Europa, prestiż – ale wygląda na to, że o to mniej więcej chodzi. Hale dla własnego dobra powinny odmłodnieć. Najlepiej, gdyby kupcy porzucili stare nawyki. Zrozumieli, że klient jest inny, przestali narzekać i pracowali dłużej niż do wczesnego popołudnia, przynajmniej nie krócej niż do wyznaczonej przez miasto godziny 17:00.

Zdaniem Alicji Nowicz chodzi po prostu o gentryfikację. – Dzisiaj Hale są przyjazne dla starszych i uboższych ludzi, których przecież w Gdyni nie brakuje – mówi. – Tutaj toczy się życie, nawiązują się interakcje niemożliwe do nawiązania w dyskontach. Barwny chaos może być dla mnie jako artystki interesujący wizualnie, ale w Halach jest przede wszystkim życie. Pewien autonomiczny świat, ostatni azymut gdyńskiego folkloru miejskiego, gdzie ludzie czują się dobrze, bo się znają, są w relacjach wychodzących poza transakcje kupno–sprzedaż. Gwałtownie uporządkowane Hale wykluczą kupców, którzy pracują tu od pokoleń, i klientów, dla których jest to miejsce nie tylko zakupów, ale też ważnych spotkań.

Na razie, trzeba przyznać, nikt nie zapowiada gwałtownych ruchów. Te stopniowe wyznaczają jednak kierunek. Na przykład w niedalekiej przyszłości między Halą Płaską a Rybną ma powstać oaza zieleni i miejsca dla rowerów. Prace już trwają. Remont toalety wstydu został zapowiedziany.

– Nie chcę miejsca tak elitarnego i hipsterskiego jak warszawskie Koszyki, ale chcę czegoś więcej niż teraz – mówi Katarzyna Gruszecka-Spychała.

Na koniec proszę wiceprezydentkę o odpowiedź na pytania z kwestionariusza Alicji Nowicz.

Czy wszędzie powinno być ładnie? – Gdzieniedzie. Muszą być miejsca, które cieszą oko.

Czy nie może tak pozostać? – Nie, świat idzie do przodu.

Czy należy piłować ząb czasu? – I tak, i nie. Próchnicę trzeba eliminować, ale zdrowy trzon zostawiać.

Kto na tym skorzysta? – Gdynianie.

Redakcja dziękuje Dawidowi Wojtawiczowi za zgodę na sfotografowanie i publikację jego prac z Miejskich Hal Targowych.

dawidwojtawicz.vsble.me

**RACHEL FALLON**

(ur. 1971), irlandzka artystka sztuk wizualnych. W swojej twórczości dotyka tematów macierzyństwa, kobiecego ciała oraz bezpieczeństwa w przestrzeni domowej. Wybiera materiały i metody pracy kojarzące się z zajęciami domowymi: wyszywaniem czy tkaniem. Jest członkinią kilku feministycznych kolektywów artystycznych. Mieszka i pracuje w Wicklow.

**MATEUSZ ROESLER**

(ur. 1996), kulturoznawca, dziennikarz, badacz komunikacji. Redaktor treści cyfrowych i audio „Pisma” i kierownik produkcji „Śledztwa Pisma”. Autor podcastu *Trzaski i szmery*. Nawiązał długofalowe partnerstwo z żółwiem Herbertem. Instagram: @mm_oesler

APTECZKA Jeszcze do niedawna pytanie o zestaw obowiązkowy złożony z najważniejszych książek, reprodukcji obrazów, filmów i płyt brzmiało niewinnie. Dziś nie ma już tylko abstrakcyjnego wymiaru. Co okazuje się naprawdę ważne, gdy tuż za rogiem tak wielu opuszcza swoje domy jedynie z tym, co uda im się unieść, a inni bardziej niż kultury potrzebują pomocy medycznej? Z czego składa się kulturalna apteczka irlandzkiej artystki wizualnej, RACHEL FALLON?

Zbierając cząstki kobiecości

Po kulturalną apteczkę sięgam zawsze, gdy w moim życiu – zarówno tym zawodowym, jak i prywatnym – zachodzą największe zmiany. Wypełniają ją nie tylko przedmioty, ale i wspomnienia momentów, które mnie ukształtowały.

Z wielką nostalgią wracam myślami do czasu spędzonego w Berlinie w latach 90., gdy jako dwudziestokilkulatka pracowałam w cyrkowej grupie Gosh. Z uwagą śledziłam występy akrobatów i komedianów, którzy działali wcześniej w zespołach Cirque du Soleil i Cirque Bidon. Aktywnie uczestniczyłam też w różnych queerowych wydarzeniach, które odbywały się w mieście, między innymi w przestrzeniach Chamäleon Theater i Scheinbar Varieté. Po upadku muru berlińskiego wiele osób związanych ze światem teatru i sztuk performatywnych miało ogromną potrzebę eksperymentowania. Często do samego końca nie wiedziało się, co artyści zaprezentują wieczorem na scenie. Wiele nauczyłam się od Martina van Brachta, jednego z założycieli Gosh, a później również grupy Die Artistokraten, który dzięki swojemu filozoficznemu podejściu do humoru udowodnił, że radykalna zmiana optyki może okazać się naprawdę pomocna w mierzeniu się z tym, co nas gdzieś w środku uwiera.

W trakcie mojego pobytu w Berlinie i obcowania z rozwijającą się tam kulturą *queer* zaczęłam też na samą siebie patrzeć dużo łaskawiej. Zrozumiałam, że nie muszę już wybierać między binarnymi archetypami kobiecości, które nawet dziś są powszechnie przypisywane Irlandkom w konserwatywnych środowiskach i na które uczyłam się zwracać uwagę także w trakcie studiów filmowych, gdy badałam sylwetki kobiet w kinie. Teraz już wiem, że mogę pomieścić w sobie zarówno cechy twardej bizneswoman granej przez Joan Crawford w *Mildred Pierce*, jak i emanującej seksualną energią w *Kwiecie kaktusa* Goldie Hawn, mimo że zdecydowanie bliżej mi do tej pierwszej.

Świadomie byłam w stanie określić się mianem feministki jednak dopiero po urodzeniu dzieci. Potrzebowałam czasu, by dostrzec, że to, co wydawało mi się jednostkowym doświadczeniem, ma wymiar kolektywny. Zaczęłam angażować się twórczo w działania grup takich jak Kampania Artystek na rzecz Zniesienia 8. Poprawki [galerię prac irlandzkiego kolektywu, którego celem było wsparcie kampanii *pro-choice* przed referendum z 2018 roku, publikowaliśmy w „Piśmie” nr 12/2021 – przyp. red.] czy Desperate Artwives – platformy umożliwiającej promowanie prac kobiet decydujących się na macierzyństwo. Wierzę w siostrzeństwo, a wspieranie takich inicjatyw daje mi nadzieję, że w świecie sztuki wciąż jest miejsce dla matek i kobiet, których pozycja społeczna uległa zmianie.

Ważną część mojego kulturalnego niezbędnika to lektury feministyczne. Wracam do publikacji badaczek: Andrei O'Reilly, Griseldy Pollock i Mariny Warner. Ostatnio czytam autobiografię Mary Harris Jones, znanej także jako Mother Jones, amerykańskiej działaczki związkowej z przełomu XIX i XX wieku walczącej o prawa robotników i dzieci pracujących w kopalniach.

Twórczości kobiet przyglądam się też w sztuce. Inspirują mnie młode irlandzkie artystki jak Cecilia Bullo, ale i te znane na całym świecie – Paula Rego, Doris Salcedo czy nieżyjąca już polska rzeźbiarka Alina Szapocznikow, której retrospektywną wystawę miałam okazję oglądać kilka lat temu w Yorkshire Sculpture Park. Już wcześniej interesował mnie sposób, w jaki wykorzystywała wosk w odlewaniu i kształtowaniu sylwetek. Jednak dopiero dostrzegając na żywo detale w jej pracach, poczułam, jak niesamowicie mierzy się w nich z przemijaniem i kruchością ciała, jednocześnie ukazując niezłomność ludzkiego ducha. To doświadczenie pomogło mi otrząsnąć się po pożarze mojej pracowni. Dzięki Szapocznikow uświadomiłam sobie, że mogę przekuć to, co negatywne, w motywację do dalszego tworzenia. Nie znajduję lepszego przykładu na działanie mojej apteczki!

Rozmawiał i przełożył Mateusz Roesler

Rozmowa odbyła się 9 lutego, dwa tygodnie przed inwazją Władimira Putina na Ukrainę.